

Kary aresztu i robót publicznych dla nadużywających w Kosowie, zgony słynących ze swej uczciwości mieszkańców Ostrowi, linia kolejowa połączyła Ostrołękę z Małkinią, zubożenie w Bogutach, gorączka żeniaczki na Kurpiach, postrzał w Komorowie

Wstępem, przypisami i ilustracjami opatrzył Jerzy Madzelan.

Fotografia wyróżniająca opracowanie: Młyn pływak.

Źródło: Ferdynand Antoni Ossendowski, *Puszcze polskie. Puszcza Biała i Zielona*, Poznań 1936, s. 208.

Włodarze gminni i duchowni z Kosowa wypowiedzieli nieprzejednaną walkę demonowi kryjącemu się w butelkach i beczkach. Karczmarze nie poddają się bez walki, ale są na straconej pozycji. Zatwardziały grzeszników, którzy pomimo upomnień nie chcą wyzwolić się z pęt nałogu, czekają surowe kary.

Do lepszego świata odeszli dwaj mieszkańcy Ostrowi, których nazwisk próżno by szukać na kartach historii. Zasłynęli z prostolinijności i gotowości do niesienia pomocy innym, a musiały to być cnoty wielkie, skoro uznano za stosowne wspomnieć w gazetach o Józefie Owsiku i Józefie Gregorku.

Donoszą, że funkcjonująca pomiędzy Małkinią i Ostrołęką poczta konna właśnie zaprzestaje działalności. Sympatyczne koniki zastąpią bezduszne maszyny.

Szlachta szaraczkowa z parafii Boguty podupada i ubożeje w niesłychanym tempie. Powodem są niszczące zasiewy dopusty Boże oraz niemające końca rozdrabnianie mająteczków. Szczęście, że nawet siedzący na kilku morgach biedniacy starają się posyłać dzieci do szkoły, tak by wyrosły na ludzi uczciwych i świątłych.

Także Kurpie dzielą swe gospodarstwa na coraz to mniejsze części, tak że trudno z pracy na roli związać koniec z końcem. Winą za ten stan rzeczy obarcza Dominik Staszewski „pochopność” Kurpiów w zawieraniu małżeństw, a później to wiadomo – „co rok, to prorok”.

Przeprowadziliśmy wielogodzinną rozmowę z pewną warszawianką, a zarazem sezonową mieszkanką nadbużańskich okolic, która zamierza zostać naszą sąsiadką na stałe. Pani Monika, bo tak ma nasza rozmówczyni na imię, była niegdyś typową mieszczką, która do położonej w pobliżu Buga, należącej do gościnnych znajomych daczy zaglądała wyłącznie w celach rozrywkowych. Przy okazji odwiedzin obserwowała niepokojące zmiany zachodzące w zachowaniu gospodarzy też przecież warszawiaków z dziada pradziada, choć najprawdopodobniej to co najwyżej z dziada.

Owi gospodarze byli początkowo równie bezstresowi, jak całe odwiedzające ich towarzystwo. To znaczy także dla nich głównym celem spędzania czasu w mazowieckiej gęszy były relaks i rozrywka. W miarę jednak, jak kolejne kawałki parceli ulegały transformacji z klepiska w coś, co od biedy można nazwać trawnikiem, w miarę pojawiania się coraz to nowych krzaczków i drzewek, gospodarze z miłej pary, o otwartych sercach i duszach, przeistaczali się w niesympatycznych gburów. Niechętnym okiem patrzyli na przyjezdne stadko wychowanych bezstresowo (zgodnie z zaleceniami nowoczesnych poradników), słodkich milusińskich, tratujących, wyrywających, łamiących wszystko, co znalazło się w zasięgu ich małych łapek i nóżek. Latami w niczym to gospodarzom nie przeszkadzało, aż nagle poczęły krzywić się na

widok ryjącego w ziemi psa (mastiff angielski, waga trudna do określenia, ale z pewnością powyżej 70 kg). Przy czym jedyna różnica w zachowaniu zwierzaka była taka, że wcześniej kopał sobie dołki, ot tak, dla samej idei kopania, a teraz wcielał w życie ambitny plan wykopania wszystkich zasadzonych krzaków i drzewek. Nastawienie gospodarzy zmieniło się na nieprzyjemne nie tylko w stosunku do dzieci i psów, ale przybrało formy, które w pewnych kręgach uznano by za grubiańskie, a nawet agresywne w stosunku do dorosłych przyjaciół. Otóż poczęli manifestacyjnie wyjmować grabki, łopaty, motyczki i inne nieznanne mieszczuchom instrumenty, zapraszając gości do wspólnej pracy w ogrodzie. Naturalnie, przyjezdni, jak jeden mąż przypominali sobie w tym momencie, że mają coś pilnego do załatwienia w stolicy i sznur samochodów opuszczał z piskiem opon podwórze. Pani Monika machała na pożegnanie, a w lusterku auta widziała odmachujących gospodarzy. Niepokojące zmiany w zachowaniu znajomych narastały – coraz częściej i coraz wcześniej psuli dobrą zabawę, wyjmując z komórki wspomniane wyżej gadżety. Pani Monika zauważyła, że odmachują coraz krócej, na ich zaś twarzach, zamiast smutku rozstania poczęła malować się ulga.

Czytelnicy przyznają, że już tych kilka zdarzeń powinno owocować zerwaniem przyjaźni, ale pani Monika jest osobą wyrozumiałą i wciąż liczyła na opamiętanie się wykazujących objawy zdziczenia przyjaciół. Przyczyną ostatecznego zerwania było zupełnie inne, choć równie dramatyczne wydarzenie. W okolicy egzystowały wciąż jeszcze tubylcze gospodarstwa chłopskie, a włościanie nie zważając na delikatną naturę aparatów powonienia mieszkańców miasta, zwykli od czasu, do czasu wywalać przed swe obory oraz na pola, produkty przemiany materii inwentarza. Te prowokacyjne zabiegi były przyczyną zepsucia powietrza, co przeszkadzało w konsumpcji grillowanych delikatesów, nawet wtedy, gdy przed przykrymi wyziewami próbowano bronić się wzmożonym spożyciem trunków. Na nic zdawały się kierowane pod adresem dzikusów apele o kulturalne zachowanie i zaprzestanie jakże szkodliwych emisji. Czegóż zresztą wymagać od ludzi mieszkających z dala od centrów kultury, nauki i sztuki współczesnej. Proszę sobie wyobrazić, jakież było zdziwienie pani Moniki, gdy pewnego dnia, po przyjeździe do przyjaciół, poczuła dobrze już jej znany fetorek, tyle że bardziej niż zwykle intensywny i z pewnością niedolatujący z daleka. Obejrzała podeszwy swych oryginalnych pantofli znanej marki, ale niczego tam nie znalazła. Sprawa się wyjaśniła, gdy para przyjaciół zaprosiła ją na podziwianie krzaków, a pod badylami leżał... obornik, znaczy się bydlęca kupa. Para przyjaciół poczęła opowiadać o ekskrementach niczym o cudzie natury:

– Ach zobacz, jaki piękny obornik udało nam się zdobyć, nie żaden tam granulowany kurzak z supermarketu, ale nawóz prosto od krowy.

Wdychali przy tym łakomie wydobywające się zewsząd, a przyprawiające panią Monikę o mdłości i omdlenie miazmaty. Przypominali kuracjuszy spragnionych przepełnionego jodem powietrza nad Bałtykiem. Nasza rozmówczyni wielokrotnie bywała nad morzem i zapewnia, że to, co czuła, nie było jednak tym cudownym, orzeźwiającym aromatem, jaki przynosi morska bryza. Natychmiast oświadczyła, że chyba pozostawiła włączony czajnik elektryczny na zapalanej kuchence gazowej, więc musi wracać do domu.

To niesłychane, jak szybko głęboka prowincja potrafi przemienić parę kulturalnych, obytych w świecie ludzi w istnych troglodytów. Co będzie następnym etapem tej przemiany – kanibalizm? Tak zakończyła się długa, piękna, czysta przyjaźń. Nie zdziwi nikogo, że pani Monika obiecała

sobie, iż jej osoba nigdy już nie zaszczydzi wiosek, lasów, łąk, rzek i jezior nie tylko tych mazowieckich, ale i wszelakich. Jeżeli wypoczynek to tylko w luksusowym hotelu, kąpiel wyłącznie w hotelowym basenie, spacer zaś w parku lub po nadmorskim bulwarze.

Po kilku latach wygodnego życia na łonie cywilizacji, pani Monika przeczytała pewnego dnia ogłoszenie: „Sprzedam działkę z chatą. Atrakcyjna lokalizacja. Blisko rzeka Bug. Cena przystępna”. Nie wie, jakie лихо ją podkusiło i jak to się stało, ale za kilka dni obudziła się jako „szczęśliwa” właścicielka: drewnianej chaty, komórki i kurnika wykonanych z tego samego łatwopalnego budulca oraz kilkunastu arów klepiska (oczywiście, co to jest ar, wówczas jeszcze nie wiedziała), a całość była ogrodzona chylącym się ku ziemi płotem ze spróchniałych sztachet.

Wszystko wróciło do wymarzonej normy, cotygodniowe imprezy, luz, swoboda – okazało się, że można żyć na wsi kulturalnie i zgodnie z najnowszymi trendami. Z niezrozumieniem, a wręcz pogardą patrzyła na sąsiadów, też przecież zazwyczaj mieszkańców europejskiej metropolii. Zamiast korzystać ze wszystkich przyjemności, jakie przynosiło życie, wciąż na swych poletkach: kopali, spulchniali, grabili, kosili, przycinali, obcinali, wsadzali w ziemię przeróżne patyki lub wiechcie, po czym je podlewali, a po jakimś czasie przesadzali – jakby nie było tysięcy lepszych sposobów na spędzanie wolnego czasu.

Po pewnym czasie chałupa zaczęła grozić zawaleniem, a komórka i kurnik zawałyły się bez wcześniejszych grózb i ostrzeżeń. Rozbiórkę tych ostatnich oraz naprawę chaty postanowiła powierzyć fachowcom. Bo wiadomo, rachy-ciachu, tydzień góra dwa ze wszystkim się uporają, a ona i jej przyjaciele będą się rozkoszować pięknem przyrody. Było z tym jednak mnóstwo kłopotów, bo jedna ekipa budowlanców więcej zepsuła niż naprawiła, a następna przerwała roboty w połowie. Chcąc nie chcąc wyzbyła się dumy i nawiązała kontakty z sąsiadami, by zdobyć namiary na miejscową złotą rączkę, która podobne roboty wykonywała dosyć szybko, o czym pani Monika mogła się nie raz przekonać na własne oczy. Łatwo nie było, bo ci wszyscy dziwacy, mieli właśnie ją, jedyną w promieniu kilometra normalną osobą za „szajbuskę” i kontakt nawiązywali niechętnie. W końcu jednak dali się przekonać i pozyskała adres.

Ruiny starożytnych, pamiętających pańszczyznę gospodarczych budowli zniknęły. Naprawiona, świeżo odmalowana chata prezentowała się całkiem stylowo, ale ogólne wrażenie psuło klepisko, zwłaszcza że unoszące się z niego tumany kurzu przeszkadzały w organizacji imprez na świeżym powietrzu. Postanowiła założyć trawnik, a słyszała, że najlepszy to taki angielski. Preczytała jakiś poradnik i własnoręcznie rozsypała po klepisku zakupione nasiona trawy. Pomięła kłopotliwe etapy usuwania kamieni, skopywania klepiska, dosypywania do ziemi humusu, torfu lub piasku (w zależności od potrzeb), spulchniania, nawożenia, walcowania itp. Nie mogła postąpić inaczej, gdyż wkrótce oczekiwała liczego grona gości, zatem czas naglił. W poradniku napisano, że tak przygotowane podłoże należy obficie zrosić wodą, co miało być bardzo proste, jako że dysponowała gumowym wężem oraz elektryczną pompą w studni..., ale proste nie było. Gumowy wąż okazał się oszalałym, wręcz niemożliwym do opanowania potworem. Pierwszy wściekły atak bestia przypuściła na samą panią Monikę, moczając ją dotkliwie i defasonując fryzurę. Później gadzina obrała za swe ofiary szyby chaty, a rządę zniszczenia nieco zaspokoiła dopiero po ścięciu trzech, cennych ponoć, a rosnących za płotem krzaków oraz zdemolowaniu sąsiedzkiej szklarenki. Nim pani Monika wyłączyła pompę, wąż zdążył jeszcze zebrać wszystkie nasiona trawy w jednym kącie podwórka oraz

wyryć kilkadziesiąt grot w niedoszłej murawie. Od tamtych wydarzeń upłynęło już sporo czasu, pani Monika stała się poskromicielką gumowych węży, ale uważa, iż stwory te wciąż kryją w sobie niezliczone demoniczne tajemnice. Nie rozumie choćby, czemu taki wąż nagle się zagina i odmawia pracy, a po odgięciu w jednym miejscu natychmiast zagina się w dwóch innych. Albo dajmy na to, ni z tego, ni z owego sam się okalecza, poprzez wykonanie w swej strukturze dziury. Robi to przy tym tak złośliwie i zręcznie, że zawsze sprawia treserze zimny prysznic.

Pani Monika na chwilę porzuciła marzenie o trawniku. Jednak po miesiącu zadzwoniła do fachowców od muraw i to najlepszych, o czym fachowcy osobiście zapewniali w swym internetowym ogłoszeniu. Specjaliści zjechali, przy akompaniamencie ogłuszającego huku maszyn wykonali, co należy, na odjezdnym skasowali panią Monikę na małą fortunkę i zapewnili, że takiego trawnika, jakim będzie się cieszyła ona, to nie ma nikt w bliższej i dalszej okolicy. Jeśli zaś będą jakiegokolwiek odstępstwa od ideału, to powstaną wyłącznie skutkiem kiepskiej gleby na nieruchomości pani Moniki. Takiej murawy, jaka wyrosła po upływie około miesiąca nasza nowa znajoma rzeczywiście jeszcze nie widziała. Zdaje się, że po raz pierwszy ujrzeli podobny unikat także sąsiedzi, gdyż przyglądali się z ciekawością i zdziwieniem, kiwali głowami, drapali się w łepetyny lub wykonywali wszystkie te czynności synchronicznie. Na angielski trawnik składała się mozaika przeróżnej wielkości i kształtów łysin, poprzerrywanych kawałkami porośniętymi mchem oraz połaciami przeróżnego zielska, którego nazw pani Monika rzecz jasna nie знаła, ale sądząc z dobiegających zza płotu rozmów, to znali je sąsiedzi:

– Nie widzę dobrze, ale to chyba zwykły szczaw... nie to raczej koniczyna... jaka tam koniczyna, przecież to zwyczajny perz... a tam, to chyba babka... pani chyba babki na oczy nie widziała, toż to mniszek lekarski... niech będzie mniszek, ale nie wmówi mi pan, że ten duży placek w rogu, nie jest cały porośnięty jaskrem...

Oj, mieli ludzie tematów do dyskusji na tydzień albo i więcej.

Na tym kończy się pierwszy rok pracy pani Moniki w roli ogrodniczki i zarazem dobiegła końca pierwsza część rozmowy z panią Moniką. Na część następną zapraszamy wkrótce.



KORESPONDENCYA Z KOSSOWA

Lud na Podlasiu poczciwy i pracowity, ma chleba pod dostatkiem, żyje w bojaźni Bożej i ubiera się ładnie, dostatnio – kto by wstąpił np. do Kossowa w dzień świąteczny, łatwo by się o tem przekonał i ujrzawszy z jakie cztery tysiące ludu zebranego na nabożeństwo, byłby pewny, że tu się jaka wielka uroczystość odprawia. Nie, to tylko parafianie jak zwykle, zebrali się złożyć dzięki Bogu i wymodlić nad sobą opiekę i błogosławieństwo; ulice zaś i rynek osady zajęte bryczkami włościan, dowodzą jasno o pracowitości tutejszych mieszkańców, która jedynie bogaci i uszczęśliwia.

Ale nie wszystkie w Kossowie białe owieczki, są i czarne, znajdują się i grzeszne jakby zarażone, a lat osiemnaście temu było jeszcze gorzej i gdzie się człowiek zwrócił z okiem albo z uchem, wszędzie spotykał zbiedzonych, niechętnych, narzekających na ciężką pracę i niepowodzenie, obdartych, brudnych i co najgorsza nie znających przyczyn swego upadku.

Przyczyną zaś tego jedyną, było czternaście karczem blisko kościoła położonych, starających się jedna przed drugą, pięknem przystrojenia okna wystawy w kolorowe szkła, flaszki, ładne napisy, wabić wróbli do sieci. Jak jeszcze do tego pokazały się katarynki i na przynętę zaczęły dudlić, przy pokrzykach weselących się, zepsucie jak powódź rozlało się wszędzie i pijaństwo, nędza wkradły się jak straszliwa poczwara.

Ale Chrystus jak przy Tyberiadzie, ulitował się nad tutejszą okolicą i sługi swoje natchnął żalem i pragnieniem ratunku. Jak tu się jednak wziąć do dzieła, po doznanych już zawodach? Lat temu kilkanaście, trzeźwość pięknie się tu przyjęła, czego nawet dotąd pozostały ślady. Trzeba było jednak liczyć na pomoc Boską i ta nie zawiodła, a najdzielniej przyłożyła się do tego administracja trzech gmin w parafii, przystępując do zaradzenia złemu z największą gorliwością.

Chociaż pijaństwo zawsze tu było ganione i tak pijacy jak karczmy pod surowem zostawały nadzorem, ale prawo zostawiono prawu, a wykonywanie jego odkładano ciągle od dnia do dnia, aż do nieskończonych czasów. Staraliśmy się więc wpływać na żyjących w błędzie, przypominaniem, że kto pijaństwu podlega, zabija duszę, bo jej nie zwraca do Boga Wszechmogącego, ale myśl jej przykuwa do ziemi i do tego co z niej pochodzi; – że pijaństwem zabijając rozum, ten najwyższy dar Opatrzności, pijak staje się jak gałązka chmielu tyczką niezaopatrzoną, co w nędzy, w poniewierce, w opuszczeniu ginie marnie, pogardzona od wszystkich.

Tem przekonaniem przejęte urzęda gminne, osobną uchwałą postanowiły na upijających się areszta, kary pieniężne, roboty publiczne przy drogach i inne bardzo trafne środki. Przytem szynkarzy podciągnięto ściśle pod prawo policyjne, a wykonywanie tych postanowień najlepiej pilnuje dotąd wójt gminy Kossowa Franciszek Szerszeń, sam rządny gospodarz, wzorowy ojciec i zawsze trzeźwy, pracowity i uczciwy człowiek. Miejscowi duchowni położyli tu także wielką zasługę, nie szczędząc nigdy słów rozumnych, wychodzących z serca, a więc do rozumu i serca trafiających. Na równie chlubne wspomnienie zasługują urzęda administracyjne, pilnując troskliwie wykonywania przepisów policyjnych.

Przy takim działaniu, ziarno rzucone w grunt żyzny, wydało wprędce zbawienne owoce. Lud pocziwy zrozumiał, że tu idzie o jego własne dobro, zarówno doczesne jak wieczne, uznał błąd swój i w pół roku niespełna, szynki zostały opuszczone, ustały w nich krzyki, kłótnie i bijatyki, a zaległa cisza i spokój tak miłe dla wszystkich i pożądane. Żadne też zebranie weselne, pod hańbą, nie wstępuje do karczmy. Szynkarze naturalnie niezadowoleni z takiego stanu rzeczy, powstali na obrońców trzeźwości, ale władze miejscowe poznawszy rzecz z gruntu, wszelkie skargi uznały za bezzasadne i powagą swą poparły starania urzędów gminnych.

Dziś też lud nie marnując czasu, w chwilach wolnych od pracy zajmuje się czytaniem ksiązek religijnych i moralnych, tak że dziś każdy dom przynajmniej jedną z nich posiada. Którzy zaś z ojców rodzin, gospodyń, gospodarzy i rzemieślników, wytrwają w swem moralnem życiu, podam ich nazwiska do publicznej wiadomości.

X. W. S.

[„Gazeta Świąteczna”, nr 4 (108) z czwartej niedzieli stycznia 1883 r.]

Z Ostrowia, miasta powiatowego w Łomżyńskim, donoszą nam, że w dniu 16 stycznia zmarł po długiej chorobie Józef Owsik, trudniący się wyrobem kopyt szewskich. Człowiek to był bardzo ubogi, ale zarazem wielce uczciwy i usłużny w nieszczęściu drugim. Należał on do najwięcej zamiłowanych czytelników Gazety Świątecznej, a niejeden wyrostek w Ostrowiu jemu winien, że dziś z książki pomodlić się może i przeczytać coś pożytecznego lub ciekawego.

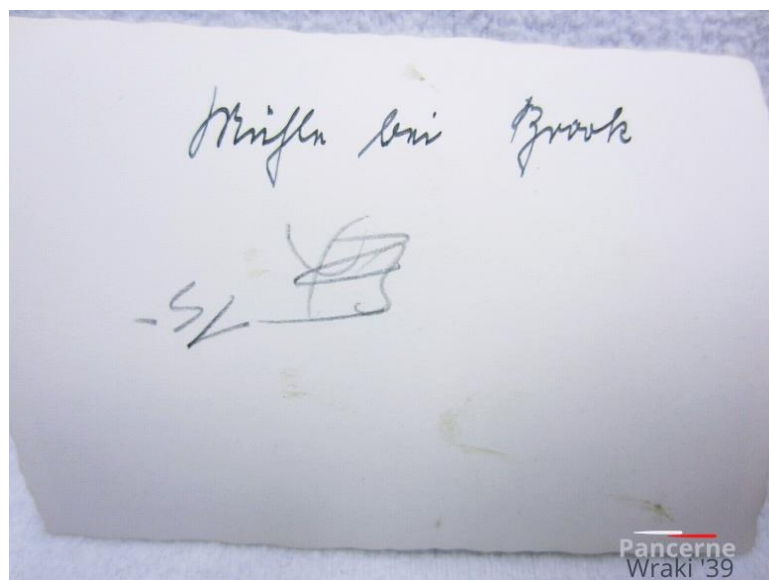
[„Gazeta Świąteczna”, nr 23 (253) z 7 czerwca 1885 r.]

Z miasta Ostrowia w Łomżyńskim. Przed dwoma miesiącami w Ostrowiu zakończył życie Józef Gregorek, który życiem swem dowiódł, do czego prowadzi praca i uczciwość. Chory na suchoty, przytomny do ostatniej godziny, mówił przed śmiercią: „Od ludzi zebrałem fundusz i ludziom chcę być użytecznym”. Rozdzielił więc zbiory całego życia w ten sposób: na Kościół budujący się w Ostrowie dał 100 rubli, na przytułek 50 r., na przytułek dla nieuleczalnie chorych w Warszawie 50 r. i służącemu wiernie w jego składzie węgla kamiennego rubli 100. Gregorek pochodził z rodziców ubogich, włościan i mówił z własnego doświadczenia, że bieda wyrabia ludzi.

W dzieciństwie pasał bydło i pomagał rodzicom w gospodarstwie. Kiedy później matka jego przyjęła obowiązek gospodyni na folwarku u państwa Marchwickich w Brzeźnie w powiecie Ostrołęckim, zacięni dziedzice dozwolili mu, uczyć się razem z ich dziećmi. To pomogło Gregorkowi wyjść na pożytecznego człowieka. Część życia przepędził w Warszawie. Pracował tam w składzie węgla kamiennych, a uczciwością zjednał sobie zaufanie. Potem na swoją rękę założył także skład na Starem Mieście. Ale z początku tracił na handlu, bo nie mógł trafić na uczciwych ludzi do pomocy. Dopiero znalazłszy rzetelnego człowieka, doczekał się znacznych korzyści. Temu to właśnie pracownikowi dał przed śmiercią sto rubli na założenie własnego składu węgla, bo i Gregorek sam zaczął z taką sumą prowadzić handel na siebie.

Gdyby dużo między nami takich ludzi było, to nie narzekalibyśmy na to, że Żydzi wszystko mają w swoich rękach.

Jakób.

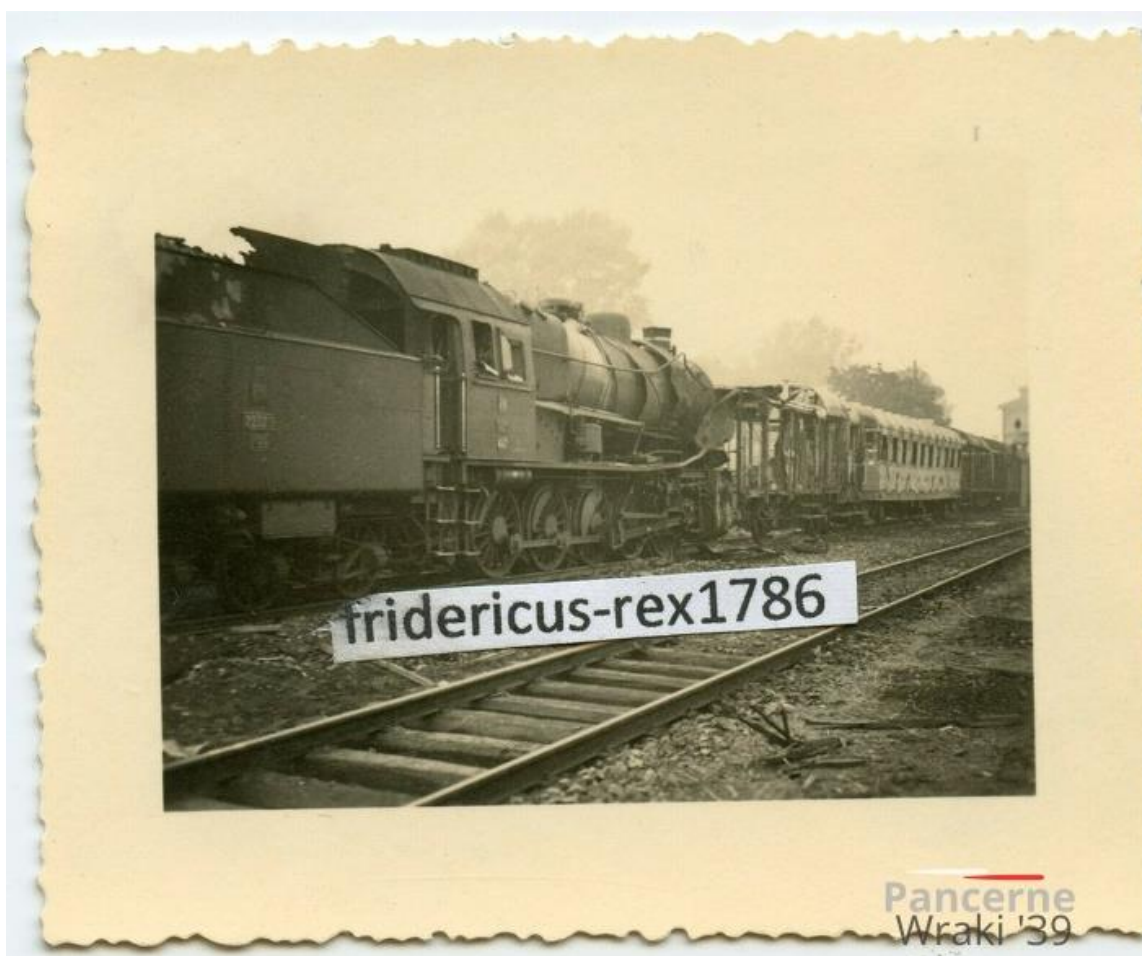


Wrzesień 1939 r. Wiatrak pod Brokiem, awers i rewers fotografii.

Źródło: Antykwiariat internetowy engelbubu-fotos, [za:] Pancerne wraki `39 wraki39.pobitwie.pl.

[„Gazeta Świąteczna”, nr 33 (658) z 13 sierpnia 1893 r.]

Drogi żelazne w gub. Królestwa. W dniu dzisiejszym rozpoczyna się przewóz podróżnych i rzeczy na nowych drogach żelaznych w gub. Łomżyńskiej, które połączyły miasto Ostrołękę z koleją warszawsko-petersburską. Jednocześnie ustaje przewożenie pocztą konną listów i posyłek ze stacji kolejowej Małkini, gdzie się właśnie nowa kolej zaczyna, do Ostrołęki i innych miejscowości położonych po drodze. Po zbudowaniu kolei nadnarwiańskiej, mającej 134 wiorsty długości, ogólna długość dróg żelaznych w kraju naszym wynosi 2063 wiorsty.



Dworzec kolejowy w Małkini, wrzesień 1939 r.

Skład kolejowy zniszczony w wyniku ataku Sztukasów.

Źródło: Antykwarjat internetowy *fridericus-rex1786*, [za:] *Pancerne wraki '39 wraki39.pobitwie.pl*.

LISTY DO GAZETY ŚWIĄTECZNEJ

Ze wsi Bogut w pow. Ostrowskim, gub. Łomżyńskiej.

Wieś. – Las i łowy w nim. – Kościół. – Parafianie. – Przyczyny zubożenia. –
Wady i zalety. – Dążenie do oświaty.

Wieś Boguty leży o 10 wiorst od Czyżewa. Jest w niej kościół parafialny, urząd gminy i szkoła. Domy zbudowane są rzędem po obu stronach drogi bitej, która przez wieś przechodzi. Tuż za wsią ciągnie się piękny las sosnowy, w którym znajdowały się podobno niegdyś wilki, dziki i jelenie. Dawniej urządzano tu często polowania z nagonką, w których brali zwykle udział hrabiowie Starzyńscy i Ożarowscy, a także wielu innych myśliwych.

Kościół drewniany w Bogutach staraniem parafian i księdza proboszcza Aug. Wawrowskiego, wzniesiony został na miejscu starego, który zgorzał przed trzydziestu laty. Obecny kościółek nie jest wprawdzie bogaty, lecz chędogi, przed siedmiu laty odświeżony wewnątrz. Cmentarz wkoło kościoła otoczony murem z cegły, przy którym rosną piękne lipy, liściaste kasztany, akacje i wysokie topole, Nadaje to kościółkowi naszemu uroczy wygląd.

Ludność parafii Boguckiej składa się przeważnie z ubogiej zaściankowej szlachty i niewielu czynszowników włościan, tu i ówdzie po parafii rozrzuconych. Wszyscy utrzymują się z pracy na roli. Dawniej, lat temu pięćdziesiąt lub sześćdziesiąt, szlachta tutejsza podobno miała się bardzo dobrze, teraz jednak podupadła i zubożała. Każdy gospodarz posiadał po trzy do czterech włók gruntu, a dziś na takiej osadzie mieszka po pięciu lub sześciu właścicieli. Są i tacy, co po kilka morgów tylko mają i ledwo na życie i przykrycie zapracować mogą. Różne przyczyny na to się składały, a najwięcej niepomyślnie lata, mokradła, susze i częste gradobicia, które zupełnie zboża niszczyły. Każdy ojciec rodziny, nie mogąc dać dzieciom wykształcenia, zmuszony był obdzielać je gruntem. Córce w posagu dawał kilka morgów ziemi, synowi jednemu i drugiemu również po kawałku gruntu wydzielał, a najstarszemu, albo najmłodszemu zapisywał resztę schedy. Takim sposobem piękne mająteczki zeszyły dziś do najmniejszych działków włościańskich.

Nie mało też przyczyniły się do zubożenia ludności tutejszej ciągle procesa o byle głupstwo, kłótnie, a stąd nieraz zawziętość i nienawiść między sąsiadami. Ale z drugiej strony ludność tutejsza odznacza się szczególniejszą i to prawdziwą pobożnością i uszanowaniem względem pasterza swego, którego każdy wyrok przyjmuje jakby wyrok najsprawiedliwszego sędziego.

I tu trzeba powiedzieć na pochwałę parafian Boguckich, że do nauki biorą się nie tylko młodzi, ale i starzy. Dzieci posyłają do szkoły parafialnej, w której nauczycielem jest p. Kraszewski, człowiek wielce pracowity i chętny w nauczaniu powierzonych mu dzieci. Da Bóg, że przy dobrych chęciach rodziców i przełożonych, dziateki te wyrosną na ludzi uczciwych i oświeconych, którzy potrafią szanować cudzą własność, będą unikali zgubnych zatargów i procesów z sąsiadami, a na swoim kawałku ziemi lepiej gospodarować będą.

Ks. B. H. Sw...

MORALNOŚĆ I UMORALNIENIE KURPIÓW.

(Dalszy ciąg).

Zwracając się do głównej przyczyny, która wywołała znieprawienie natury Kurpiów, t. j. do tego przełomu ekonomicznego, jaki oni głównie przechodzą w latach ostatnich, widzimy, że przełom ten spowodowany został wielkim wzrostem ludności, wskutek czego rozdrobniły się osady włościańskie, a nawet wielu Kurpiów zupełnie z nich zeszło i zwiększyło liczbę wyrobników bezrolnych.

Nie bez racji mówił p. Bülow¹ o króliczym rozplenianiu się ludności w Poznańskim. Szybki ten wzrost jednakże odnosi się wyłącznie do ludności wiejskiej i rolniczej, gdyż w miastach, zwłaszcza wśród inteligencji, zdobycie wiedzy fachowej i wyrobienie stanowiska, wreszcie walka o byt i trudność znalezienia chleba i wychowania dzieci znacznie opóźnia, a nawet wstrzymuje zupełnie od zawierania związków małżeńskich, zwłaszcza w tym wieku, kiedy to ludzie najpochopniejsi są do żeniaczki, bo ileż to byłoby małżeństw, gdyby tak mogli się żenić, na przykład... szóstoklasiści! Dla tego też widzimy, tak wielką ilość starych panien i kawalerów, od których się aż roi w Warszawie, a zwłaszcza w miastach prowincjonalnych. Z tej też przyczyny i wśród małżeństw daje się zauważyć, tak usilne staranie o jak najmniejszą ilość dzieci.

Zupełnie co innego wśród ludu wiejskiego, każdy chłop jest rolnikiem lub wyrobnikiem prawie od urodzenia. Ani więc zdobywanie wiedzy fachowej i wyrobienie stanowiska, ani myśl o przyszłości dzieci nie wstrzymuje włościan od małżeństwa i zawierają je jak najwcześniej, jak tylko dojdą do wieku, w którym ślub mogą dostać. Wielką pochoptwość młodego wieku do małżeństwa potęgują jeszcze warunki życia wieśniaczego. Gospodarowanie na osadzie włościańskiej bez kobiety w domu jest wprost niepodobieństwem, gdyż kobieta zajmuje się prócz „wiktu i opierunku” – inwentarzem, trzodą, drobiem, wyrabianiem płótna i innymi przeróżnymi robotami, jakie stanowią niezmiernie ważne i niezbędne pozycje w budżecie włościańskim. Wreszcie, osiadli na roli dążą do najprędzszego pobrania posagu dla zdobycia pieniędzy, jakich nieraz wielki brak na osadzie, wyrobnicy zaś przez ożenienie emancypują się wcześniej z zależności rodzicielskiej, co dla młodego wieku zawsze jest ponętne, co bez żony, zajmującej się „opierunkiem” i obiadem, jaki nosi w dwojaczkach za mężem, jest wprost niedościgłe. „Opierunek” ten i w ogóle gospodarstwo domowe zniewala i w miastach ludność biedniejszą do żeniaczki i wywołuje nieraz tę nędzę, jaka się gnieździ po suterrenach i poddaszach miejskich wśród rodzin liczniejszych, które trudno wyżywić ojcu rodziny, gdyż dzieci małe w miastach same na siebie nie mogą jeszcze zarobić, jak na wsiach, gdzie bardzo wcześniej oddają je do „pasionki”. Również osiadli na roli zupełnie się nie troszczą o przyszłość swych dzieci: głównie idzie im o to, żeby jedno lub dwoje dzieci utrzymało się przy osadzie w przyszłości, gdyż o „gruncie” chłop myśli nie mniej, niż o przyszłości swych dzieci. Usilnie się też stara, żeby mógł dla każdego z dzieci, tyle uezierać pieniędzy, iżby każde z nich mogł

¹ Bernhard Heinrich Karl Martin von Bülow –kanclerz II Rzeszy oraz premier Prus w latach 1900-1909 [przyp. aut. oprac.].

również „wdać” na inną jaką osadę i to jest jedna z głównych przyczyn jego żelaznej oszczędności, ale mu nawet na myśl nie przyjdzie, żeby pragnął mieć mniej dzieci, dlatego, żeby każde z nich otrzymało większą spłatkę z osady i powszechnie się starają mieć jak najwięcej tego „błogosławieństwa Bożego”.

Z powyższych wszystkich przyczyn, lud wiejski wstępuje w związki małżeńskie bardzo wcześnie. Na Puszczy, gdzie wyżywienie ludności, jak już mówiłem jest łatwiejsze niż w innych okolicach kraju, Kurpie odznaczają się jeszcze większą pochopnością do żeniaczki. Iluż to kawalerów „samoszyjców”² lub dziewcząt służących można znaleźć wśród służby folwarcznej po dworach już po dobrej dwudziestce, a nawet i trzydziestu lat wieku! Kurpiów wolnych w tym wieku nie ma prawie zupełnie. Co rok z nastaniem jesieni, a zwłaszcza „po godach” w karnawale całą Puszczę ogarnia wprost gorączka żeniaczki. Bardzo często żenią się już 18-letni chłopcy lub niewiele co starsi, a że Kurpie żadnych środków zapobiegawczych nie używają, rodzin więc jest bardzo wiele i każda z nich jest nadzwyczaj liczna i nie wiem, co by to było, gdyby tak jeszcze nie przerzedzała tego mrowia wysoka śmiertelność, jaka panuje wśród dzieci wiejskich.

Wytrzymałość dzieci wiejskich na zimno jest dość względna. Naturalnie, że przez przyzwyczajenie wiele dzieci chłopskich dochodzi do tego, że biegają boso po śniegu i lodzie i stąd pochodzi powszechne mniemanie o zahartowaniu ich na wszelkie zmiany temperatury, ale nikt nie widzi, ile tego mrowia umiera przez niedozór lub lekceważenie ich zdrowia.

Śmiertelność tę, jednakże wprost pochłania wielka płodność licznie zawieranych małżeństw i Kurpie rozrodzili się tak szybko, że nawet się nie spostrzegli, jak zabrakło im roli i chleba. Dopóki szło o samo wyżywienie, Kurpie odżywiając się wyłącznie kartoflami, jakie mają w dostatecznej ilości, nie odczuwali zupełnie warunków utrudnienia bytu. Nie odczuwają też wielkiej różnicy i obecnie wyrobnicy. Dopiero gdy na osadzie zaczęły wzrastać ciężary i powstały zaciągane na spłatę rodzeństwa długi, wówczas dopiero Kurp odczuł utrudnienie warunków bytu – wywołane przez wzrost ludności i poszedł w świat szukać większych zarobków, a przede wszystkim pieniędzy na spłatę z osady.

(C. d. n.)

Dominik Staszewski.

[„Życie i Praca”, nr 53 z 2 lipca 1925 r.]

Z Ostrowia. W dniu 8. VI. b. r. leśniczy lasu wojskowego garnizonu Ostrów-Komorowo, z niewiadomej na razie przyczyny, postrzelił z rewolwera Benedykta Kędziora ze wsi Lipki. Kędziora odesłano do szpitala powiatowego w Ostrowiu.

² Samoszyjec – żyjący samotnie wdowiec lub kawaler [przyp. aut. oprac.].